

Długo za długo zabierałem się za pisanie tego felietonu dla „Karzełka”, przez co wydanie jego kolejnego numeru znacznie się opóźniło. Głównym jednak powodem było to, że nie mogłem znaleźć wystarczająco przekonującego (dla mnie samego) klucza do ambitnie zakreślonego tematu tej edycji naszego magazynu – 1001 fantastycznych drobiazków.

Dopiero obejrzany przeze mnie w marcu br. film **Yórgosa Lánthimosa *Biedne istoty***, w połączeniu z informacją o jego oscarowych sukcesach, pootwierał w mojej głowie pewne kłapki – i nagle chaotyczne pomysły zaczęły się zazębiać. Nie wiem, dokąd ta nagła epifania mnie doprowadzi, bo nasz *leit-motive* zakłada pewne nieuporządkowanie treści, ale postaram się wyłuszczyć sprawy (a może zlewy) jak najklarowniej.

Rzeczony obraz to nie był pierwszy film Lánthimosa, który obejrzałem, ale jeśli ktoś z twórczością tego reżysera wcześniej nie miał do czynienia, to może przeżyć prawdziwy wstrząs. Grek po prostu nie zwykł brać jeńców, a bohaterów swoich filmów uwielbia stawiać w sytuacjach krańcowych, maltretować ich fizycznie oraz psychicznie się nad nimi znęcać. Co więcej: odbiera człowieczeństwo nie tylko im, ale i dehumanizuje wszystko, co się z ich życiem wiąże (bez nabożeństwa traktuje zwłaszcza zaspokajanie głodu oraz popędu seksualnego). Nie jest bynajmniej skandalistą, ale po prostu uwielbia odzierać ludzkie życie z przynależnego mu *sacrum* i prowadzić swych bohaterów na krawędź ich człowieczeństwa, by

potem z lubością zepchnąć ich w przepaść. Nie można jednak pominąć, że nie ma on również żadnych uprzedzeń wobec fantastyki i czerpania z rezerwuaru motywów, które ona ofiarowuje. Zdarza się wręcz, że zaprawia fundamenty swoich historii prawdziwie fantastycznym spoiwem. W *Lobsterze* np. przenosi nas do opresyjnej wobec jednostki przyszłości, której kwintesencją jest obłąkańcza idea metamorfizacji osób samotnych (singli płci obojga zamienia się w zwierzęta); w *Zabiciu świętego jelenia* na protagonistę i jego rodzinę spadają iście biblijne (a przez to nierozpoznawalne w zdesakralizowanej rzeczywistości) plagi – i bardzo długo nie mamy pojęcia, co lub kto za nimi stoi. Jednak dopiero w *Biednych istotach* Lánthimos idzie na całość, tkając swój obraz niemal wyłącznie z wątków przynależnych fantastyce (głównie sf, ale też i grozie).

Akcja filmu rozgrywa się pod koniec XIX wieku. Godwin Baxter (Willem Dafoe), ekscentryczny, ale genialny chirurg, mieszka w Londynie, w domu, który jest prawdziwym panoptikum. Błąka się po nim cała masa hybrydalnych istot, które stworzył on jedynie dlatego, że mógł

(kura z głową świni, pies z głową gęsi itp.). Razem z nim i służącą zamieszkuje go też opóźniona w rozwoju dziewczyna Bella (Emma Stone), która na swojego opiekuna mówi zdrobniale God (Bóg). Baxter pozwala jej niemal na wszystko: sika ona pod siebie, wypluwa z ust kęsy jedzenia, które jej nie smakują, kiedy zaś asystuje Godwinowi w sali operacyjnej (będącej równocześnie prosektorium), z lubością oddaje się dżganiu zwłok i amputowaniu im tego czy owego. Sam lekarz wygląda niczym potwór Frankensteina, którym poniekąd jest. Był on bowiem synem innego geniusza medycyny, który bezceremonialnie eksperymentował na organizmie syna. Dowiódł dzięki temu, m.in., że gruczoły trawienne są człowiekowi niezbędne, a po wycięciu ich swemu dziecku musiał dla niego skonstruować specjalną pompę, za pomocą której niezbędne enzymy trafiają bezpośrednio do układu trawiennego Godwina. Pełna lista ingerencji, którym został on poddany, wydaje się nie mieć końca, ale God i tak się nimi nie martwi, uznaje bowiem prawo lekarza do tego typu praktyk; sam zaś pracę swego ojca twórczo kontynuuje, także nie przyjmując do wiadomości żadnych etycznych ograniczeń. (Dzięki jednej z recenzji dowiedziałem się, że nazwisko Godwin nosił brytyjski wolnomyśliciel, prekursor anarchizmu, który porzucił pastorowanie, oddał się pisarstwu i poślubił inną damę pióra – Mary Wollstonecraft, zostając ojcem Mary Wollstonecraft Shelley, autorki *Frankensteina albo Współczesnego Prometeusza!* W jej biografii sam już czytałem, że jako czternastolatka przez

pewien czas mieszkała u znanego ojcu radykała Williama Baxtera, gdzie poznała Percy'ego Shelleya!! Jakże wszystko w tej nominatywnej szaradzie się precyzyjnie i ładnie dopełnia!!!). Baxter zatrudnia swojego studenta Maksa McCandleasa (Ramy Youssef) do śledzenia postępów w rozwoju Belli, a kiedy odkrywa rodzącą się między młodymi zażyłość (dziewczyna, choć zachowuje się jak dziecko, porusza niezgrabnie i nieskładnie wysławia, posiada atrakcyjne ciało dojrzałej kobiety, czego nie sposób nie dostrzec), zdradza przerażającą historię jej pojawienia się w jego domu. I ani podobieństwo chirurga do potwora dr. Frankensteina, ani to, w jaki sposób zwraca się do niego Bella (*mój Bóg*) – nie są dziełem przypadku. Wyjaśnia się też, dlaczego pierwszą sceną filmu jest skok młodej kobiety z jednego z londyńskich mostów (nie znam tego miasta, więc nie potrafię odgadnąć, z którego) w odmęty Tamizy. Jej ciało mieszkający pod mostem bezdomny sprzedaje lekarzowi, a ten, nie mogąc uratować ciężarnej, decyduje się na przeprowadzenie szalonej, ale i genialnej operacji: przeszczepienia mózgu niezmarłej i nieurodzonej córki samobójczyni do ciała jej matki. Eksperyment się powiódł – mózg nienarodzonej zaadaptował się w nowym ciele, ale musi się wiele nauczyć, żeby do niego dorosnąć. Ubogi i zapatrzony w Godwina student ma zostać opiekunem Belli na wypadek, gdyby chirurgowi coś się stało. Ale zaaranżowane małżeństwo nie dochodzi do skutku, bo ciekawski i oślizgły prawnik Duncan Wedderburn (Mark Ruffalo) wmieszał się między



młodych i zawrócił w głowie niedoświadczonej dziewczynie, która dopiero co odkryła uroki masturbacji. Postanawia ona zatem uciec z nim w świat, a podróż ta będzie z jednej strony jej inicjacją, a z drugiej – szkołą życia.

Film zamienia się w opowieść o dorastaniu, edukacji i emancypacji, a głównym ich składnikiem okazuje się seks. Bella korzysta ochoczo z rozkoszy cielesnych i – choć jej przewodnik chwali się, że w te klocki to on może znacznie więcej niż większość żyjących na świecie mężczyzn – nie jednak jest w stanie sprostać temperamentowi oraz entuzjazmowi Belli. Nie tylko w łóżku nie potrafi on jej okiełznać, ale także w sytuacjach bardziej formalnych swoboda zachowania panny Baxter przyprawia go o ból głowy.

Fragmenty te niewątpliwie należą do najbardziej komicznych w tej niewesołej – bądź co bądź – opowieści, a jednocześnie obnażają krępującą nas sieć kulturowo-społecznych konwenansów, których krytyka jest jednym z celów Lánthimosa.

Główny nacisk filmu położony jest jednak na obronie uciskanych przez zmaskulinizowane społeczeństwo kobiet i bezkompromisowo staje do walki o ich zupełne wyzwolenie z tych nieznośnych opresji. Droga do tego wiedzie przez porzucenie sprawujących nad nimi kontrolę mężczyzn, posiadanie własnych środków finansowych oraz swobodne kierowanie własnym życiem (np. przez dostęp do edukacji). Bella zapewnia to sobie, pracując w paryskim burdeliku, uczęszczając na spotkania francuskich



Kadr z filmu *Biedne istoty*; reż. Yórgos Lánthimos; USA, Irlandia, Wlk. Brytania 2023

komunistów, odkrywając uroki miłości lesbijskiej i przygotowując się do studiów medycznych.

Muszę przyznać, że dyskursywna warstwa filmu zawiodła mnie na całej linii – okazała się miałka, anachroniczna i podająca rozwiązania kompletnie nie do przyjęcia. Jako ojciec córkom nie życzyłbym sobie (a przecież i dosyć swobodnie traktujący konserwatywne wzorce zachowań Wedderburn się na to nie godził), aby niezależność finansową zdobyły one w taki sposób, jak bohaterka *Biednych istot* (nikt mnie nie przekona, że sexworking – jakby atrakcyjnie nie brzmiała ta nazwa – to nobilitujący rodzaj aktywności zawodowej i nie ma w nim niczego zdrożnego). Z drugiej strony, czyż można się spodziewać czegoś innego w epoce zupełnej swobody seksualnej, w której ostatnim tabu (coraz bardziej zresztą rozmiękczanym) pozostaje pedofilia (Bella Baxter tak naprawdę psychicznie pozostawała dzieckiem, choć zupełnie tego po jej fizyczności nie było widać), a młode dziewczyny oswajają z taką karierą (również w Polsce) wysokonakładowe dzienniki czy strony w stylu *only fans*... Sufrażystki muszą się przewracać w grobach!

Powracając do kwestii fantastyczności oscarowego filmu Greka, bo na związkach z klasyczną powieścią sf się ona nie wyczerpuje, odnajdujemy ją w warstwie wizualnej. Mamy tu do czynienia ze steampunkiem w najczystszej postaci. Kiedy Baxterowie i McCandles wyjeżdżają na

przejażdżkę, to poruszają się powozem z napędem parowym, którego front zdobi galion w postaci końskiego łba! W odwiedzanych przez Duncana i Bellę miastach funkcjonują napowietrzne linie tramwajowe (przypominają górskie kolejki linowe), a luksusowy liniowiec, którym udają się w wycieczkowy rejs, jest ogromnym parowcem o retrofuturystycznych kształtach. Nie ma chyba fantasty, którego takimi obrazkami nie dałoby się kupić! Do tego trzeba dodać niezwykle kolory, którymi znakomicie gra reżyser (na początku film jest czarno-biały, z czasem nabiera barw, by na końcu wybuchnąć ich pełną paletą – wyraźnie nawiązując do sytuacji bohaterki, która z szarej myszki zamienia się w kolorowego ptaka), serwując widzom prawdziwie wystawną estetyczną ucztę.

Namawiam czytelników do skonfrontowania werdyktu Akademii z dziełem *Lánthimosa*. Pokazuje ono, do jakich celów można użyć naszego ulubionego gatunku i jak daleko da się przesunąć granice jego oddziaływania. Ponieważ reżyser, choć uchodzi za twórcę ekstrawaganckiego, funkcjonuje jednak w tzw. głównym nurcie, mamy niezbite dowody na to, że fantastyka obecna jest dziś wszędzie i nie ma mowy o zamykaniu jej w jakimkolwiek getcie. Tylko – czy to wychodzi jej na dobre? Od czasu do czasu warto sobie zadać również takie pytanie, a prowokacyjne *Biedne istoty* nie dają jednoznacznie pozytywnej na nie odpowiedzi...